

OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 5

CHOJNICE

Nr. 17

Ewangelja.

Onego czasu: powiedział Jezus Faryzeusom: Jam jest Pasterz dobry, pasterz duszę swą dsze za owce swoje. Lecz najemnik, i który nie jest pasterzem, którego nie są owce własne, widzi wilka przychodzącego, i opuszcza owce, i ucieka, a wilk porzywa i rozprasza owce. A najemnik ucieka, iż jest najemnikiem, i nie ma pieczy o owcach. Jam jest on pasterz dobry, i znam moje, i znają mię moje. Jako mię zna Ojciec, i Ja znam Ojca, a duszę moją kładę za owce moje. I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni: i one potrzeba abym przywiódł, i słuchać będą głosu mego; i stanie się jedna owczarnia, i jeden Pasterz.

Nauka.

W starym Zakonie przed przyjściem Odkupiciela świata, Bóg nazywał się Panem świata, Sędzią sprawiedliwym, Panem zastępów, Bogiem potężnym, aby temi straszniemi i zmiłony opornych żydów, zawsze skłonnych do bałwochwalstwa, utrzymał przy zachowaniu Zakonu swojego.

W nowem zaś Prawie, Zbawiciel Jezus Chrystus, opuściwszy te straszliwe imiona, aby nas miłością pociągnął do siebie, zowie się Drogą, bo tylko przez wiarę w Niego możemy przyjść do prawdziwego szczęścia w niebie. Zowie się Prawdą, bo On jeden tylko przyniósł prawdę z nieba i tylko Jego nauka prowadzi do prawdziwego szczęścia. Zowie się Opoką, albo skałą, bo weni tylko wierząc, na niego się opierając, możemy uniknąć zguby wiecznej. Zowie się Fundamentem, bo wszystko utrzymuje wszechmocnością swoją. Zowie się Barankiem, bo za nas zabłył i ofiarowany, stał się ubłaganem za grzechy nasze. Zowie się Światłością świata, bo Jego tylko nauka, prawdziwie oświeca człowieka. Zowie się Wodą żywą, bo gasi pragnienie duszy naszej, gasi skwar pożądliwości naszych. Zowie się Chlebem żywota, bo własnym ciałem swoim i Krwią swoją karmi i tuczy nas sobie na żywot wieczny. Zowie się Ojcem, bo nas miłuje, jako ojciec dzieci swoje. Zowie się Nauczycielem, bo nas uczy wszelkiej prawdy. Zowie się Bratem naszym, bo jako brat kochający, przypuszcza nas do udziału w dziedzictwie swoim.

Nakoniec w dzisiejszej Ewangelji św. nazywa się Pasterzem. Dla tego to my nazywamy się owieczkami Jego, jak Pismo św. wyraża: Myśmy ludem Jego i owcami pastwiska Jego.

On jest tym Pasterzem, którego wszyscy sprawiedliwi od początku świata z wielkiem pragnieniem pożądali. I tak: Przed świercą swoją Mojżesz modlił się do Boga: Niech opatry Pan Bóg... człowieka, któryby był nad tem zgromadzeniem i mógłby wychodzić i wchodzić przed nimi i wywodzić je albo wpre-

wadzać, aby lud Pański nie był jako owca bez pasterza.

Micheasz prorok też o to Pana Boga prosi: Paś lud Twój, Twoją trzodę dziedzictwa Twego, mieszkając sam w lesie. I Dawid Prorok mówi: Błądziłem jako owca, która zgineła, szukaj sługi Twego.

Otóż mówi Zbawiciel: Tym Pasterzem Ja jestem od wszystkich upragnionych i pożądanym, a nie lada jakim, ale dobrym Pasterzem, bo nikt leplej od niego nas nie pasle... Amen.

Kardynał Wiseman.

FABIOLA.

Część pierwsza.

Chwile rozejmu.

— Lecz, mówiła dalej Fabiola z niejakim wahanem czy nie ma wielkiego aktu wiary, uroczystego stanowczego, na wyznanie i uwielbienie jej, aktu podobnego do ofiar naszych?

Syra wahała się odpowiedzieć, bo rozmowa zdawała się przenosić na punkt tajemniczy i święty, którego Kościół nigdy nie odsłaniał przed pogańskiem okiem. Odpowiedziała więc prostem i ogólnem potwierdzeniem.

— A czybym nie mogła — zapytała jeszcze Fabiola — być wtajemniczoną w szkołę waszą, abym mogła ten wzniosły hołd złożyć?

— Obawiam się, że nie; trzeba, aby ofiara godną była bóstwa.

— Ah, zapewne! — odrzekła Fabiola... — Wół może być ofiarą godną Jowisza, lub koza Bachusa: lecz gdzież szukać ofiary godnej Tego, któregoś mi poznać dała?

— Trzeba zaprawdę, aby ofiara ze wszech miar godną Go była, najczystsza i najwyższa, zasługująca bez granic.

— I jakąż jest ta ofiara, Syro?

— On sam jest tą ofiarą.

Fabiola okryła twarz rękami, potem pełne ognia oczy wlepiła w twarz Syry i rzekła:

— Jestem pewna, że w tem wszystkim co mi mówisz, jest myśl prawdziwa i głęboka, tajemna, — ale tajemnica ta przeraża mnie, i rozumiem jej nie mogę.

— Jako niezawodna jest, że On mnie słyszy i zna myśl moje — tak i to pewna, że ci powiedziałam prawdę.

— Nie mam siły dłużej mówić o tem z tobą, umysł mój potrzebuje wypoczynku.

Chrześcijańskie zgromadzenie.

Następujący poranek naznaczony był na odwiedziny, które Fabiola co rok odbywała w okolicy, tym razem odwiedzić miała byłego prefekta miasta, Chromacjusza. Czytelnik przypomniał sobie, że po nawróceniu się i złożeniu urzędu, Chromacjusz udał się do willi w Kampanji, zabierając ze sobą wielką liczbę osób, nawróconych przez Sebastjana i kapłana Polikarpa, dla ukończenia ich nauki religijnej. O tych okolicznościach Fabiola nie widziała, lecz słyszała różne dziwne szczegóły o willi Chromacjusza. Mówiono, że nie dawał zabaw, że uwolnił wszystkich wiejskich niewolników, lecz że wielu dobrowolnie przy panu pozostało i że całe to liczne zgromadzenie było bardzo szczęśliwe, chociaż żadne nadzwyczajne zabawy ani wesole biesiady, jak się zdawało, nie były dozwolone... Te wszystkie szczegóły rozdrażniały ciekawość Fabioli, pragnącej prócz tego dopełnić miłego obowiązku grzeczności względem dawnego przyjaciela.

W lekkim wiejskim powozie wyjechała z rana, pędząc wesoło po równej drodze. Jesienna rosa zwilżyła kurzawę i jak błyszczącymi kamieniami obsypała winne latorośle, wjące się przy drodze zamiast płotu od drzewa do drzewa. Wzrótce ujrzała ładny pagórek, okryty bukszpanem, arbutusem i laurami, wspartymi o wysokie cyprysy, wśród których na wyniesieniu jaśniały białe mury obszernej willi. Zmiana, z której sobie zdać sprawy nie mogła, widocznie nastąpiła w tem miejscu; lecz przejechawszy bramę, wielka liczba próżnych framug i postumentów przypomniła jej, że willa utraciła zupełnie jedną z najcharakterystyczniejszych ozdób swoich, to jest mnóstwo pięknych posągów, wdzięcznie ustawionych wzdłuż wiecznie zielonych płotów.

Chromacjusz, kulejący na podęgę, gdy go Fabiola ostatnim razem widziała, a teraz czerstwy starzec, przyjął ją grzecznie, dopytując troskliwie, czy prawda, że się wrótce do Azji wybiera. Na to pytanie zmartwiła się Fabiola, bo dotąd nie wyjawiał Fabjusz zamiaru swego przed córką. Chromacjusz pocieszał Fabiolę radzając, że wiadomość jest fałszywa i prosił, aby się przeszła po ogrodzie. Zauważyła, że zawsze z równem staraniem utrzymywany i pełen pięknych roślin, lecz brak było starych posągów. Nareszcie doszli do grotty z fontanną, którą pierwiej nimfy i wodne bóstwa zdobiły, a która obecnie przedstawiała próżną pieczarę. Nie mogła dłużej powstrzymać się Fabiola i obracając się do Chromacjusza, rzekła:

— Cóż to się stało, Chromacjusza, żeś te wszystkie posągi usunął; przecież były prawdziwą ozdobą tej willi?

— Droga pani, odpowiedział wesoły staruszek, nie gniewaj się na mnie. Jakież dla kogokolwiek użitek z tych figur?

— Tak myślisz, lecz Inni nie są twego zdania, odrzekła. Lecz powiedz mi, coś z niemi uczynił?

— Jezeli mam prawdę powiedzieć, pod młot kowalski je oddałem.

Zdziwiona do żywego, Fabiola zawołała: — Co za barbarzyńcze ciębie, mój mądry, dobry sędzio! czem zdołasz wytłómaczyć czyn ten niegodziwy?

— Oto widzisz, postępując w latach, postąpiłem w mądrości, i przekonaawszy się, że pan Jupiter i pani Junona nie są bardziej bogami jak ty lub ja, pozbyłem się ich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tym, którzy tęsknią.

Cudną ta ziemia nasza jest zawsze,
Czy to w zielonej, wiosennej szacie,
Czy też gdy latem słońce jaskrawsze
Błyszczą w królewskim swym majestacie.

Cudną jesienią jest ziemia nasza
Gdy ją oprzędą nitki pajęczne,
A każda rosa srebrzysta zrasza
I tworzą w słońcu stubarwną tęczę.

I zimą cudna jest ziemia cała,
Gdy się pokryje śnieżystym puchem
I nieskalana czysta i biała
Spł, odpoczywa ciałem i duchem.

O, jakże żal mi was, co z daleka
Za ojców ziemią tęsknić musicie.,
Wróćcie, bo ona, tu na was czeka,
Wróćcie, bo ona dała wam życie!

Wspomnienie I. Komunii św.
na łożu śmierci.

Pewien pobożny kapłan w Paryżu, odwiedzający szpitale w celu spowiadania i zaopatrywania chorych, opowiada następujące, rzewne, zdarzenie, którego sam był naocznym świadkiem: —

Raz kapłan ów przyszedł na salę chorych, zostając pod opieką siostry miłosierdzia, która mu zwróciła uwagę na chorego, suchotnika, liczącego około trzydzieści trzy lat, o którym lekarz orzekł, że nie pożyje więcej jak trzy dni. Zakonnica opowiedziała dalej, że starała się chorego nakłonić do spowiedzi i przygotować na śmierć, ale bezskutecznie. Także i kapłan szpitalny nic nie wskórał — i musiał odejść wśród obelg i przezwisk od chorego. Chociaż więc zdawało się, że i ten kapłan nic nie wskóra, przecież postanowił on próbować, pozyskać tego chorego dla Boga. Rozchodziło się tu o chwałę Bożą! o zbawienie duszy nieśmiertelnej, dla których warto próbować wszystkiego.

Kapłan ów najpierw zaczął chodzić od chorego do chorego, od łóżka do łóżka, jak to miał zawsze zwyczaj, aż przyszedł do łóżka suchotnika. Przestraszył się prawie chorego: na bladej twarzy jego osiadły jakby cienie śmierci, policzki jego były zapadłe i żółto blade, wyschły był bardzo, a oczy jego, głęboko zapadłe, świeciły jakimś dziwnym blaskiem. Kilka poduszek podtrzymywały chorego w pozycji siedzącej, ułatwiającej oddychanie jego ciężko falującej pierśi.

Gdy kapłan zbliżył się do chorego, ten popatrzył na niego uparte, ale nic nie powiedział. — Mój przyjacielu, zaczął kapłan, Siostra powiedziała mi, że wiele cierpisz. Pewnie już dawno jesteś chorym?

Nie było żadnej odpowiedzi, tylko spojrzenie nieżywcze, odpychające!

Kapłan nie zniechęcił się tem, ale mówił dalej łagodnie: — Gdybym mógł panu w czem dopomóc, chętniebym to uczynił!

Chory milczący, i na to nie nie odpowiedział.

— Trzeba z konieczności robić cnotę — mówił kapłan dalej. Trzeba ofiarować swoje cierpienia jako pokutę za swoje grzechy, a wtenczas cierpienia całe mają wielką wartość dla zbawienia duszy!

I te słowa nie zrobiły na chorym żadnego wrażenia przychylnego. Tylko jego wzrok stawał się z

każdą chwilą groźniejszym i zdawało się, że wnet wybuchnie chory obelgami na kapłana.

W tem przychodził temu kapłanowi szczególna myśl. Zbliża się prędko do chorego i pyta cichym głosem:

Czy pan pamięta swoją pierwszą Komunię św?

Te słowa miały jakiś magiczny wpływ na chorego. Nagle, głęboko wzruszenie wyrzuciło się w twarz chorego i słabym głosem szepnął: — Tak jest!

I nie był pan wtenczas szczęśliwym? — pyta kapłan.

— Byłem szczęśliwym nad wyraz, — odpowiada chory wzruszony — i dwie trzy wielkie spłynęły po jego bladej, zapadłej twarzy. Kapłan ujął go za rękę. Ja panu powiem, co pana czyniło wtenczas szczęśliwym.

Byłeś pan wtenczas czystego serca prawdziwie dzieckim Bożem. Tego szczęścia możesz pan i teraz dostąpić. Pan Bóg jest takim samym teraz jak dawniej i przyjmie pana tak samo miłośnie jak wtenczas, w młodości!

— O tak, księżo, chcę się spowiadać i być tak szczęśliwym jak wtenczas. Proszę mi dopomóc do tego!

I chory wyspowiadał się i umarł pobożnie, śmiejącą szczęśliwą, do czego mu dopomogło wspomnienie pierwszej Komunii św.

Po drodze do Emaus.

Wielkie było poruszenie wśród uczniów Chrystusowych. Zdumiewające nowiny, przytłeszone przez niewiasty, które grób zastały pusty i anioła w nim siedzącego, zdawały się potwierdzać, bo i Piotr i Jan naocznie przekonali się o tem, że w grobie była próżnia. Po mieście obiegły pogłoski, jakoby uczniowie sami wykradli byll ciało Chrystusowe. Niepokojące wieści szły też do sanhedrenu, rady żydowskiej. Ta niepewność oczekiwaną, jakaś obawa przed faryzeuszami sprawiła, że Kleofas, który nie wierzył w możliwość zmartwychwstania Pańskiego, a bał się faryzeuszów, uważył za stosowne nie zwlekać dłużej; w chwili gdy przed powtórcem nadejściu Magdaleny panowała we Włoczniku żywa dyskusja, wyszedł niezauważnie i puścił się w drogę.

Nie szedł sam; towarzyszył mu Łukasz, późniejszy ewangelista. Przez miasto starali się przejść jaknajprędzej i najciszej, dopiero za bramą zwolnili kroku i odetchnęli swobodnie.

Rozmowa zesłała na to, koło czego kręcili wszystkie ich myśli, na Chrystusa i tragiczny jego koniec. Mówili o tem jak o rzeczy zupełnie przeszłej i bez ratunku skończonej; ani im w głowie było, by śmierć Pana mogła rozpocząć nowy rozdział Jego dziejów. Przypomnieli sobie wszystko, czego byli świadkami i cuda i nauki Jezusowe, oburzali się na przewrotność faryzejską, litowali się nad gorzką męką Mistrza, zastanawiali się, co też dalej będzie, czy uczniowie się rozejdą i całe dzieło się rozpadnie, czy wbrew kapłanom utworzy się z dawnych zwolenników Chrystusowych jakaś nowa sekta, żyjąca Jego pamięcią i nauką.

Pod wpływem tych wspomnień i rodzących się smutnych myśli a zarazem i miłości ku Zbawicielowi, zwolnili kroku.

Gdy tak wloką się po drodze zmartwieni, dopędził ich z tyłu wędrowiec, idący w tym samym kierunku. Ubrany był jak człowiek średniego stanu; w rękę miał laskę, a małe zawiniątko na plecach. Zrównawszy się z uczniami, szedł przez chwilę jednym krokiem w milczeniu, potem zagadnął przyjaźnie: „Cóż to są

za rozmowy, które idąc macie między sobą, a jesteście smętni?”

Kleofas jednak nie był w humorze do Zwierzeń. „Jako, odburknął, to ty sam gościem jesteś w Jeruzalem i nie wiesz co się w niej działo przez te dni?” „Co tak ego?” zapytał nieznajomy, tonem prostodusznego zaciekawienia. Uczniom rozwiązał się język: „Tys nam słyszał o Jezusie Nazareńczyku, który był mąż sprawiedliwy, potężny w uczynku i w mowie przed Bogiem i przed ludźmi? A przedniejsi kapłani i przełożeni nasł wydali go na skazanie śmierci i ukrzyżowali Go! A myśmy się spodziewali, iż On miał być odkupić Izraela, a teraz nad to wszystko dziś trzech dzieł jest jako się to stało.”

„Jakże to?, wtrącił pielgrzym, „I dotąd leży w grobie?”

Zmieszali się uczniowie nieco. „Nie wiemy co się z Nim stało, bo niewiasty niektóre z naszych, przestraszyły nas, które przededniem były u grobu, a nie znalazłszy ciała jego, przyszły powiadając, że i widzenie anielskie widziały, którzy powiadają, iż żywie.”

Nowy towarzysz pod óty słuchał uważnie. Gdy się wynurzyli już ze wszystkiego, czego pełną miell duszę, pomilczał chwilę, poczem zaczął tonem łagodnej perswazji; „O głupi a leniwego serca ku wierzeniu temu wszystkiemu, co powiedzieli prorocy! I zaś nie było potrzeba, aby to był cierpiat Chrystus i tak wszedł do chwały swojej? Nie czytaliście nigdy proroków?”

I tutaj zaczął zbierać w jeden ogromny obraz wszystko, co zgłosił Stary Zakon o przyszłym Mesjaszu. Począwszy od zapowiedzi odkupienia, danej w raju pierwszym rodzicom, poprzez objawienia, udzielone patriarchom, poprzez figury i pisma prorockie, zestawiał wszystko, rys po rysie i szczegół po szczególe, aż całe księgi St. Przymierza zdały się świecić jednym światłem i odzywać się jednym głosem, że w wszystkim i przez wszystko Chrystus. A ten Chrystus, budowany przez cztery tysiące lat przepowiedni, to nie kto inny, tylko Jezus z Nazaretu, ten sam, co trzy dni temu skonał w męce na skale Kalwarji. Wszystko się zgadza i czas i miejsce i postać i cuda i okoliczności i rodzaj śmierci, każdy szczegół i każde słowo.

Nieznajomy skończył, lecz uczniowie milczeli dalej, jakby nie mogąc oderwać duszy od jakiegoś widoku. Ogarnęło ich zdumienie. Serce ich tukało im się w piersiach ze wzruszenia ale i ze wstydu; bo wobec tego, co usłyszeli, jakżeś małe były ich myśli, jakże nikczemna ich ucieczka!

Tymczasem jednak zbliżył się cel podróży; pokazały się o kilkaset kroków domki Emaus, rozłożone na stoku wzgórza. Nieznajomy udał, że chce ominąć miasteczko i boczną ścieżyną skręcić w swą drogę. Ale Kleofas, pokorny już i pełen świętego uszanowania, podbiegł za odchodem. „Panie, rzekł z serdeczną prośbą, zostań z nami, bo się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił.”

Trochę się bronił pielgrzym, lecz w końcu ustąpił. Weszli w miasteczko i w próg domu Kleofasowego.

Uszczęśliwiony gospodarz zakrzętnął się koło wierzery. Zasiadł do stołu, gość w środku a obaj uczniowie po bokach. Niezmiernie ciekawi „byli, kto to mógł być ten człowiek prosty i łaskawy, a tak niezmiernie biegły w Piśmie i pełen zrozumienia tajemnic Bożych? Nie mieli jednak odwagi zapytać się wprost; ufali, że w trakcie dalszej rozmowy, rzecz się wyjaśni.

Temu co przy stole zajmował pierwsze miejsce, przysługiwało też to zaszczytne prawo rozłamania chleba i rozdania go współbiedniakom. Kleofas po-

prosił uprzejmie, aby gość zeciniał wziąć na siebie tę rolę. I niezajomy nie odmówił. Wzłął chleb ze stołu, rozłamał, ale zamiast podać sąsładom, dwa mniejsze kawałki położone osobno na talerzu, wzniósł w górę z oczyma podniesionemi w niebo modlił się cicho przez chwilę, a potem odezwał się głośno: „Bierzcie i spożywajcie, to jest ciało moje“.

Zdumieni, ale jeszcze nie zorientowani, przyjęli podane cząstki, gdy wtem zmiesliła się w mgleniu oka postać siedzącego. Znikły pielgrzymie szaty i niezajoma twarz, a na ich miejsce ukazały się dobrze znane rysy Mistrza, tylko tak jasne, jak nie widzieli ich nigdy.

Nieprzytomni z podziwu, patrzą osłupiałym wzrokiem, lecz w jednej chwili znikło wszystko i znaleźli się sami u stołu.

Minał czas jakiś, zanim zdołał słowo przemówić. „Włęc to był Pan“! szepnął wreszcie Kleofas, jakby bojąc się własnego głosu. „Pan, odparł drugi, i żywy i prawdziwy. Nie omyliły się niewiasty! Jakiśmy mogli być tak ślepi! Izali serce nasze nie paliło w nas, gdy mówił w drodze i Pisma nam otwierał?“

Lecz nie było czasu na długie rozmowy. W duszy obydwu było jedno postanowienie: „Trzeba wracać do Jeruzalem!“

Zostawili posłitek i nie żegnając się z domownikami, nie czując nawet zmęczenia, ruszyli w drogę powrotną. Szli prawie biegając. Nie minęły prawie trzy godziny a byli w mieście i kotatali usilnie do bramy domu na górze Sijon.

Weszli w wleczernik, ale zanim zdołał wydobyć słowo ze zdyszanych piersi, powitały ich już na progu radosne głosy:

„Wstał Pan prawdziwie i ukazał się Szymonowi“.

Pobożny bohater na łożu śmierci.

Arcyksiążę austriacki Karol, był nietylko sławnym wodzem, ale także również pobożnym i dobrym katolikiem. Sam Napoleon I szanował go bardzo jako zwycięzcę z pod Aspern. Gdy arcyksiążę Karol był śmiertelnie chorym, pierwszym staraniem jego było przyjąć św. Sakramenta, przyjąć P. Jezusa i od Niego otrzymać siłę i moc do ostatniej walki śmiertelnej.

Już przed laty prosił on swego spowiednika. Przedewszystkiem proszę przedemną nie ukrywać, gdy będzie zbliżać się ostatnia godzina w mej chorobie, bo otaczający wleczą to prędzej niż sam chory. Proszę mi wtenczas powiedzieć, tylko dobrze po niemiecku: „Bacznóż, stary żołnierz, już czas do wymarszu... w wleczność“.

Gdy śmierć rzeczywiście się zbliżała, spowiednik nie miał potrzeby przypominać mu jego obowiązku względem duszy. Arcyksiążę przyjął z największym nabożeństwem Komunię św. Potem zażądał jeszcze widzieć się z dziećmi, które chciał jeszcze raz pożegnać i pobłogosławić.

Pewien zaufany kapłan arcyksięcia Karola opowiada: — Gdybyśmy w czasie konania arcyksięcia Karola odprawiali kolejno adorację Najśw. Sakramentu i na rozkaz domu cesarskiego modlili się za konającego, przyszła mi na myśl prośba arcyksięcia, aby mu uprosić u Boga łaskę, by dożył jeszcze lada chwila oczekiwanego przybycia swoich synów.

Ale tylko arcyksiążę Ferdynand zastał ojca przy życiu i widział, jak ojciec chciał podnieść rękę do błogosławienia temu, ale już nie mógł, tylko sercem umierającym mu błogosławił.

Arcyksiążę Karol umarł dnia 30 kwietnia 1848 roku. — W papierach po nim pozostałych znaleziono jego

rękopisy przez niego własnoręcznie spisanych rozmyślań, ze serca pisanych pełnych głębokiej wiary i pobożności.

Sławny ten wódz, który napisał znakomite dzieło o sztuce wojennej, miał zwyczaj codziennie zapisywać sobie jakies zdanie lub cytat z Pisma św., nad którym rozmyślał w ciągu tygodnia. — Z tych zapisków widać także, z jaką stanowczością ten zwycięzca z pod Aspern walczył z nieprzyjaciółmi swej duszy, mianowicie z pychą, wyniosłością i żądzą sławy wojennej.

Arcyksiążę Karol bywał codziennie na Mszy św. i zawsze miał czas na to. Często przystępował także do Sakramentów, a jednym z jego najpiękniejszych zwyczajów i cnot było, że nawet w czasie przechadzki podnosił oczy swoje i myśli od stworzeń i piękności natury do najwyższej Dobroci i Piękności — Boga, Stwórcy wszech rzeczy.

Zarty i fraszki.

Vivat Academia!

Fraszki i zarty, poświęcone specjalnie lekarzom, z albumu Szlony Tannenbauma.

Do Dr. K. przybywa w nocy bardzo zdenerwowany mężczyzna, który go zaklina, by z nim pojechał do żony, do bardzo ciężkiego połoga.

— Jak daleko? pyta Dr. K.

— Stopięćdziesiąt złotych.

— Dobrze! panie doktorze śladamy.

Lekarz zapakował do swej walizki stetoskop, termometr, tubę z ciałną i odpowiednie do aktu obęgi. Swego „Ford“ puścił w ruch. Jada i jada. Minęli Łąg. Deszcz lał jak z cebra. Nareszcie na błotnistej drodze zatrzymał ów gospodarz samochód przed samotnym domem. Wyskakuje i wręcza lekarzowi 150 zł.

— Co to ma znaczyć woła Dr. K., gdzie jest chora?

— Chorej niema!

— Do licha ciężkiego! POCO pan mi kazał jechać?

— Bo właściciel samochodu żądał odemnie za podróż w tę paskudną noc 200 złotych, a pan doktor zrobił o 50 złotych taniej.

W starszym wieku stara panna, która słuch straciła, udaje się do lekarza specjalisty na uszy. Lekarz zajął się nią z całą troskliwością. Po dłuższym leczeniu odzyskała słuch, a ucieszony kuracją lekarz odzywa się do niej: pani może się uważać za uleczoną. Więcej zrobić nie można.

— Dobrze! Ile za leczenie jestem dłużną?

— 200 złotych.

Stara panna podnosi słuchkę do ucha, która wygląda jak przedhistoryczny saxofon i pyta: wiele pan, panie profesorze, żądał 500?

— Czteryście pani dobrodziejko wrzasknął na cały głos specjalista od chorób usznych.

W Poznaniu składa kandydat na lekarza po mozołnem studjowaniu języka polskiego i medycyny egzamin państwowy.

Lekarz profesor widząc w nim Rusina, zapytuje go, kładąc rękę poniżej serca:

— Co jest tutaj?

Ten wontroba, panie profesorze!

— Mylił się pan, przedewszystkiem mówi się nie ten wontroba tylko wątroba, po drugie nie jest ten wątroba tylko ta wątroba, po trzecie nie jest wątroba tylko ślepa kiszka. Dziękuję, panie kandydacie, pan przepadł.